

WITAJCIE W CIĘŻKICH CZASACH: DANSE MACABRE

Opowiadanie inspirowane jest utworem Camille Saint-Saëns'a "Danse Macabre"

- Jesteście tego pewni? - Nadzorcy schronu trudno było zrozumieć podejmowanie tego tematu, a tym bardziej podjętą już decyzję.

- Tak - odpowiedziała chórem grupka mieszkańców.

- Ale przecież wy nic nie wiecie o zewnętrznym świecie. To niebezpieczne miejsce. Świat, który oglądaliście na taśmach, jest zupełnie inny, gorszy!

- Z całym szacunkiem, ale nie wiesz tego, nie byłeś na zewnątrz. Na pewno jest inny, ale jaki jest naprawdę, chcemy się przekonać! - Anthony wiedział jak dobierać argumenty.

- To prawda, ale-

- Żadne ale! To, że wyjdziemy zostało już ustalone. Zrobimy to bez twojej zgody, czy z nią, my cię tylko o tym powiadamy. - Gregory wiedział jak mówić to, co się myśli nie przejmując się konsekwencjami.

- Ja nie chcę niczego wam zabraniać, chcę tylko abyście to wszystko przemyśleli na spokojnie. Rozważyli plusy i minusy. Pomyśleli o niebezpieczeństwach.

- Już to dawno zrobiliśmy - powiedział Albert - i zdecydowaliśmy, że wyjdziemy. Nie możemy siedzieć całe życie w schronie, jego zadaniem było obronienie nas przed radiacją, żebyśmy mogli znów zaludnić planetę. Od Wielkiej Wojny minęły lata, właśnie teraz musimy odnowić Ziemię.

- To prawda, ale taka ekspedycja wymaga przygotowania, to nie może być tak, że jednego dnia chcecie wyjść, a drugiego wychodzicie. To zbyt ryzykowne.

- Myśleliśmy o tym już od kilku miesięcy. Raczej jesteśmy przygotowani.

- Wolałbym usłyszeć "na pewno", a nie "raczej". Naprawdę nie mogę zrobić nic, co by was skłoniło do przemyślenia tego jeszcze raz?

- Na pewno nie - odparł Gregory.

Nadzorca przyglądał się im w ciszy. - Skoro nie ma nic, to cóż, pozostaje mi tylko życzyć wam powodzenia. Nie mogę was tu wiecznie trzymać. Kiedy chcecie wyruszyć?

- Jutro - odpowiedział podekscytowany Anthony, ale robił wszystko, żeby nie było tego widać.

- Już jutro... No dobrze, skoro nie chcecie mnie słuchać, to proszę bardzo. A teraz idźcie, mam ważne sprawy do zrobienia. Odwrócił się do swojej konsoli, a reszta wyszła. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, każdy z nich podskoczył w geście zwycięstwa. Nie mogli się doczekać, min dziewczyn, jak o tym usłyszą.

- Zgodził się?! Naprawdę?! - Jane nie mogła wierzyć w to, co słyszy, a Anthony był zadowolony z jej reakcji. - Nie wierzę! To kiedy możemy wyruszyć?

- Jutro rano.

- Już jutro?! Wspaniale!

- Dlatego wyśpij się, i miej dużo sił na jutro. Chociaż widząc w jakim jesteś stanie, chyba nie zaśniesz w nocy - zaśmiał się, po czym dostał poduszką w twarz. Do drzwi rozległo się pukanie. - Wejdźcie. - Jo i Gregory weszli do pokoju, Jo wyraźnie podniecona.

- Powiedział ci już?

- Tak! Jutro wyruszamy w świat!

- Nie wiem jak tego dokonaliście, ale dziękuję! - Jo najpierw pocałowała w policzek Gregoryego, a potem Anthonyego.

- Albert też brał w tym udział, jemu też nie zapomnij podziękować - zażartował Gregory.

- No, już ty się nie bój! O, o wilku mowa - powiedziała Jo, kiedy zobaczyła, że do pokoju wszedł Albert, tym razem bez pukania.

- Jak mniemam, wszyscy już wiedzą?

- Tak! - powiedziała Jo i rzuciła się Albertowi na szyję, po czym pocałowała i jego.

- O. Nie ma za co. - odparł z uśmiechem.

- No dobra, słuchajcie, jutro musimy wstać wcześniej więc rekomendowałbym pójście do łóżek.

- Dobry pomysł.

- Popieram.

- Ja też.

- Jutro zaczyna się nowy etap w naszym życiu, postarajmy się, żeby był jak najlepszy.

Rano wszyscy byli już gotowi do drogi z plecakami na ramionach. Choć żadne z nich nie spało przez pół nocy, nie byli zmęczeni, ani niewyspani, czuli się świetnie. Stali przed ogromnymi drzwiami schronu jak nigdy wcześniej. Teraz patrzyli na nie, jak na bramę do lepszego świata. Nie potrafili ukryć podniecenia i żartowali między sobą przeskakując z nogi na nogę. W końcu przyszedł Nadzorca z Anthonym. Drugi wydawał się troszkę zdenerwowany, ale umknęło to uwadze jego towarzyszy. Każde z nich miało teraz tylko jedną i tą samą myśl w głowie: Świat.

- Jesteście gotowi? - zapytał się Nadzorca stając przy konsoli kontrolującej mechanizmem zębatych drzwi.

- Jak nigdy w życiu! - odkrzyknął Albert.

Przywódca schronu nic nie odpowiedział, tylko wpisał kod w konsolę. Po chwili wielkie drzwi zatrzęsły się zsypując z siebie kurz i zaczęły się powoli toczyć otwierając ścieżkę do nieznanego. Grupa z podziwem patrzyła na ten proces. Nadzorca podszedł do nich i powiedział:

- Proszę bardzo. Możecie iść, tu macie kod dostępu, przyda się, jeśli będziecie chcieli wrócić. Anthony, pamiętaj co ci mówiłem. A teraz, powodzenia.

Spojrzeni na Nadzorcę i kiwnęli głowami. Pewnie przeszli przez próg wejścia do schronu i ostatni raz patrzyli się na ich przywódcę, zanim zniknął za zębatymi drzwiami. Byli gdzieś pod ziemią. Ciemna jaskinia była bardzo mała i przy jednej ze ścian stała stara, zardzewiała drabina, która wiodła do góry. Na samym jej szczycie było wyjście przykryte ciężką pokrywą, ale nie na tyle ciężką, żeby się nie dało jej przesunąć. Musieli zmrużyć oczy, gdy światło słoneczne wpadło do jaskini. Wyszli powoli na zewnątrz oglądając się z radością. Słońce właśnie wschodziło ponad pustynią i był to niesamowity widok. Choć jeszcze było chłodno, nie przeszkadzało im to. Rozglądali się dokoła nie mogąc się nacieszyć pięknem natury. Zaczęli śpiewać i tańczyć z radości.

- Piękny początek pięknej przygody! - zawołała Jane w stronę Słońca, które powoli rosnęło nad horyzontem bezkresnej pustyni.

- Patrzcie! - krzyknęła podekscytowana Jane wskazując palcem przed siebie - Tam jest miasto! - Faktycznie, zarysy budynków w oddali stawały się coraz bardziej szczegółowe.

- Ej, czekajcie! - strudzony Gregory nie mógł nadążyć za towarzyszami, którzy na widok osady zapomnieli o zmęczeniu i kilku dniach wędrówki - Czekajcie na mnie! - sapiąc zaczął biec za nimi, potykając się po drodze.

Kilkanaście metrów przed zardzewiałą i brudną tablicą, na której niewidoczna już była nazwa miasta, grupa zatrzymała się na znak jej nieformalnego przywódcy.

- Pamiętajcie o tym, że ci ludzie mogli nie mieszkać w schronach, mogli nawet o nich nie słyszeć. Mogli nie mieć takiej szansy jak my, znaleźć azyl w podziemiach, więc starajcie się, żeby o tym za dużo nie wspominać. A najlepiej wcale o tym nie wspominajcie bez potrzeby.

- A jeśli zajdzie taka potrzeba? - zapytała się Jo z niepokojem w głosie.

- To chyba raczej im powiesz skąd jesteś, nie? - zziębły Gregory, który ledwo co doszedł na miejsce od razu wziął udział w dyskusji.

- Nie - odparł szorstko Anthony - Będziesz musiała skłamać.

- Dlaczego? - tym razem pytania zadała Jane.

- Dlaczego? Ci ludzie nie znają innego życia, myślisz że nie chcieliby dostać się do schronu? My przecież wyszliśmy z niego znudzeni, tutejsi mieszkańcy mogliby chcieć do niego wejść, a nie możemy do tego dopuścić.

- Nie możemy? Schrony zostały zaprojektowane żeby chronić ludzi, czyż nie? - Albert musiał zabrać głos.

- Tak, to prawda. Ale projektanci schronów nie przewidzieli chyba inwazji z zewnątrz, po wojnie. Wpuściłbyś bandę nieokrzesanych, brudnych dzikusów do domu? Ich system wartości może być, a pewnie nawet jest, inny niż ten w schronie. Nie możemy dopuścić do wojny domowej.

- A skąd pewność, że doszłoby do niej?

- Znikąd. Po prostu wolę nie ryzykować.

- Dobra, zrozumieliśmy - powiedział zirytowany Gregory, najwyraźniej w imieniu wszystkich - możemy w końcu tam wejść? Głupio by było tu tak stać cały dzień, po takiej podróży.

Anthony kiwnął głową i ruszył do miasta, reszta podążała za nim. Ogromne zniszczone budynki przywitały podróżników. Sięgające niegdyś nieba, stały teraz niższe i zdewastowane, ornamenty krzyczących głów i umieszczone obok nich stare reklamy z piękną, uśmiechniętą rodziną pijącą niebieską Nuka-Colę, były wspaniałą manifestacją groteski. Domy z dziurawymi dachami i wciąż otworzonymi na oścież drzwiami, jak gdyby właściciel wyszedł tylko na chwilę i miał zaraz wrócić, były puste i ograbione. Gdzieś tam tylko, z daleka od grupy, przemykał jakiś wychudzony dziki pies, zdesperowany na tyle żeby ich śledzić, ale nie na tyle żeby ich zaatakować. Puste, zdezelowane samochody stojące na dziurawej drodze zapraszały do środka otwartymi drzwiami, tylko nie chciały mówić głośno o tym, że nie mają już paliwa. Kilka z nich stanowiło wygodny dom dla wszędobylskich szczurów. Na jednym ze skrzyżowań stały dwa auta, ciężarówka i osobowy, wciąż w tej samej pozie po wypadku

sprzed kilkudziesięciu lat, czekając aż ich kierowcy omówią sprawy ubezpieczeniowe. Wysuszona fontanna na środku zniszczonego placu stała pośród gruzów, śmiejąc się z życzeń wypowiedzianych przez właścicieli starych monet. Pusta szkoła z porzucanymi dookoła plecakami oczekiwała powrotu uczniów z wakacji, okropnych i nieskończonych. Ponury, pusty obraz przerażał prostotą przekazu: świat jest martwy.

Najgorsza jednak, była cisza. Nie było tu atmosfery miasta, jaką widzieli na taśmach, miasta zaludnionego i tętniącego życiem, z ludźmi rozmawiającymi na ulicach i samochodami, które zawsze były w pośpiechu. Tutaj, auta wciąż czekające na zielone światło bardzo chciały zacząć trąbić, ale nie mogły. Tutaj, mały sklepik chciał, aby wszyscy słyszeli, jak tanio jego właściciel sprzedaje swoje towary, ale nie mógł. Tutaj, kiedyś wielopiętrowy wieżowiec, teraz ledwie kilkupiętrowy chciał, żeby przechodnie słyszeli jak małe dziecko płacze przy otwartym oknie, jak cała rodzina ogląda film komediowy śmiejąc się przy tym radośnie, jak młoda para darzy się pierwszą, prawdziwą miłością, jak nastolatek, po raz nie wiadomo który, słucha płyty Chucky'ego Berry'ego. Chciał, ale nie mógł, bo tutaj czas zatrzymał się w miejscu. Czasem tylko wiatr poruszył jakąś butelką, puszką, która przeturlała się kilka centymetrów. Podróżnicy po raz pierwszy zaczęli żałować, że opuścili schron.

- Dlaczego jest tak pusto? - Jo ciężko było uwierzyć w to, co widzi. A raczej w to czego nie widzi.

- Pewnie dlatego, że nikt nie przeżył. - odpowiedział zdenerwowany Gregory.

- Jak nikt nie przeżył? Przecież te domy tu stoją! Ktoś musiał przeżyć!

- Widocznie nie musiał!

- Przestańcie krzyżeć - wtrącił Albert - kłótnie nie mają sensu.

- Ja się nie kłócę.

- Nieważne, chodźmy dalej - szmer dochodzący z pobliskiego budynku zwrócił uwagę Anthony'ego - To znowu jakiś pies?

- Nie wiem. Nie! Tam się coś świeci! Tam chyba ktoś jest! Ej! - Gregory wyraźnie się zaciekawił sprawcą dźwięku - Ej! Jest tam ktoś? Podejdę i zobaczę.

- Czekaj! - zatrzymał go Anthony - Nie wiesz jakie zamiary ma ten ktoś. Nie wiesz nawet czy to ktoś.

- Wiem, przecież widzę, że się świeci. To na pewno człowiek - podchodził tam coraz bliżej nie zważając na podenerwowanie grupy. - Ej! Nie ma się czego bać! Mam dobre zamiary, cholera co tak śmierdzi? Wyjdź stamtąd, bo się udusisz! Jezu, jak tam śmierdzi. Człowieku, mógłbyś się umyć.

- Greg, czekaj! - Jane nie mogła wytrzymać, widząc jak blisko wejścia stoi jej kompan - Czekaj mówię!

- Uspokój się, nic mi się nie stanie. - zajął powoli do środka, po czym zaczął tam wchodzić zasłaniając nos - Boże, jak śmierdzi. To ty tak śmierdzisz? Gdzie jesteś? I skąd masz tę zieloną latarkę? O Boże!! - głos Gregory'ego dobiegał ze środka, nikt z grupy nie mógł wiedzieć, co go tak przestraszyło.

- Greg co jest?! - Anthony wyjął swój pistolet - Greg?!

- Tony, skąd to masz?! - Albert zapytał patrząc na broń. Dziewczyny też były zdziwione, ale nie wiedziały czym bardziej, krzykami kolegi czy pistoletem.

- Dostałem od Nadzorcy; Greg?!

Gregory krzychał głosem wyższym niż normalnie - Cholera, co ci się stało?! To ty tak śmierdzisz? Ej, czekaj, nie to miałem na myśli; aaach! Nie gryź mnie! Kurwa mać, spierdalaj! - wybiegł z budynku trzymając się za rękę. - Ugryźł mnie!

- Kto?! - zapytała krzykiem Jane.

- Ten stwór! - zaczął tłumaczyć oddalając się od wejścia, w którym zaczęło pojawiać się zielone światło - Jest zielony, śmierdzi zgnilizną, widać mu kości i gryzie ludzi! O cholera! A jeśli to zombie?! Jeśli ja się w to zmienię?!

- Uspokój się, to nie jest film! Weź Rad-awaya, na pewno otrzymałeś dawkę radiacji.

- Masz rację, Albert, muszę się uspokoić. Ale uważajcie, on tu idzie!

Zielone światło zaczęło być coraz jaśniejsze. Z progu drzwi wyszedł ghul. Jego skóra była już ciemnozielona i brakowało jej w kilku miejscach. Latało wokół niego kilka much, a w okolicy żeber, które było doskonale widać, zasiedliły się robaki. Z jego lewej ręki zwisał duży płat śmierdzącej skóry, a prawej ręce brakowało całej dłoni. Jego jedyne oko wibrowało w czaszce, której brakowało mnóstwa włosów, obserwując otoczenie. Cały był wychudzony i chodził tak, jakby każdy krok na jego cienkich, kościstych nogach sprawiał mu ogromny ból. Kiedy zobaczył kilku ludzi stojących wokół niego, zaczął jęczeć zgrzytając żółtymi zębami.

- Mój Boże, co to jest?!

- Nieważne co to jest, zabij to! - krzyknął przestraszony Gregory.

Kiedy ghul zaczął się zbliżać, Anthony strzelił do niego. Stwór zachwiał się, kilka robaków wysypało się z jego żeber, a on jęknął głośniejsze i ciągle szedł w stronę Gregory'ego.

- Zabij to!

Anthony strzelił do ghula jeszcze raz, ten i tym razem zachwiał się i jęknął, ale teraz wyrzucił się, mocno uderzając miękką głową o asfalt, co sprawiło, że stała się wklęsła w

miejscu upadku. Mutant jęczał cały czas patrząc z nienawiścią na podróżnika. Próbował się podnieść, ale jego lewa ręka ułamała się pod wpływem ciężaru jego ciała i znowu upadł, miażdżąc to, co zostało z jego twarzy. Próbował się czołgać, ale nie miał na to siły. Wszyscy patrzyli z obrzydzeniem, jak żałośnie stwór się wije i jęczy. Anthony podszedł w końcu do niego i strzelił w głowę, która bryzgnęła kawałem szarego mózgu zostawiając na drodze brudny ślad. Dziewczyny odwróciły wzrok, a reszta patrzyła na to w ciszy.

- Daj mi tego Rad-awaya! - wrzasnął jeszcze przestraszony Gregory wyrывая go z ręki Alberta.

- Cholera, co to mogło być? - zapytał Alberta Anthony kucając przy mutancie, na którym zaczęły siadać muchy.

- Powiedziałbym, że to mógł być człowiek. Tylko, że zmutowany pod wpływem promieniowania.

- Czy moglibyśmy już stąd iść? - Jane cały czas stała plecami do trupa. - Możemy się nad tym zastanawiać gdzie indziej.

- Tak, chodźmy stąd. Może być ich więcej - zaproponował Gregory trzymając się za rękę.

- Czemu nam nie powiedziałaś, że dostałaś broń od Nadzorcy?

- Nie chciałem żebyście myśleli, że będzie potrzebna. Nie chciałem was straszyć.

- Nieważne, dobrze że ją ma, inaczej nie wiadomo, co by się stało. Możemy już stąd iść? To coś zaczyna śmierdzieć coraz bardziej.

- Nie mów tak! Pamiętaj, że to był człowiek! - skarciła go Jo.

- Był, ale już nie jest. Ugryzł mnie! O cholera, tam chyba jest jeszcze jeden!

Gregory wskazał palcem na miejsce, gdzie znów zaczęło świecić się zielone światło. Na dźwięk jęku dziewczyny pisnęły i zaczęły biec przed siebie. Anthony wstał i prawie potykając się o swoją ofiarę, także zaczął biec przed siebie trzymając pistolet w gotowości. Albert założył plecak z lekarstwami na plecy i zaczął pędzić za resztą. Gregory, cały czas trzymając się za rękę, miał lekkie trudności z dogonieniem kompanów. Biegł sapiąc, co chwilę odwracając się za siebie. Zauważył, że nie wiadomo skąd goniło ich aż trzech mutantów. Ale robili to bardzo powoli, mieli problemy z chodzeniem na zgniłych nogach o pożółkłych kościach.

- Kurwa, nie zostawiajcie mnie z nimi!! - Gregory krzyknął przeraźliwie widząc, jak jego kompani oddalają się od niego.

- To biegnij szybciej!

- Nie potrafię!!

Grupa bez Gregory'ego skręciła za zniszczony budynek. Kiedy Greg stracił ich z oczu, przestraszony zaczął biec o wiele szybciej.

- Jezu, ja nie chcę umierać! Zaczekajcie na mnie!!

Odwrócił się, żeby zobaczyć w jakiej odległości znajdują się potwory. Z ulgą stwierdził, że niepotrzebnie tak szybko uciekał, Ghule nie potrafiły biegać, powłóczyły powolnie nogami, cały czas jęcząc. Mężczyzna ucieszył się, że nie musi już tak szybko biec. Jego zadowolenie minęło, kiedy skręcił za ten sam róg, gdzie zniknęła grupa zauważając, że nikogo tam nie ma. Przerazenie ogarnęło całe jego ciało.

- To chyba jakieś jaja - powiedział cicho z niedowierzaniem i desperacją - Gdzie jesteście?!

- Przestań się drzeć - głos dobiegł zza zamkniętych drzwi na klatkę schodową - chodź tu.

Gregory z niewypowiedzianą ulgą podszedł do drzwi, z których dochodził głos jego kompanów - Już myślałem, że mnie tu zostawicie.

- Wchodź szybko.

Klatka schodowa była brudna i nieużywana od jakiegoś czasu. Śmierdziało w niej stęchlizną, ale nie tak bardzo jak z Ghulem w środku, stwierdził w myślach Greg. Anthony stał przy drzwiach, a dziewczyny siedziały na schodach, Albert musiał wejść na wyższe piętro.

- Tutaj chyba ich nie ma.

- Myślisz, że widziały, jak tu wchodzisz? - od razu zapytał Anthony.

- Nie sądzę. W sumie to niepotrzebnie tak się bałem, te stwory są strasznie wolne. Myślę, że łatwo będziemy mogli od nich uciec.

- To dobrze.

- Powinniśmy wyjść - Albert zbiegł szybko ze schodów nie pozwalając dokończyć zdania Gregoryemu i trochę strasząc wszystkich wokół.

- Spójrzcie! Holodysk! Znalazłem go w otwartym mieszkaniu, zaraz go przeczytamy. - włożył go do swojego PipBoya. Zaczął czytać półszepem - "Jeśli tu trafisz, to lepiej od razu uciekaj, Sam tu trafiłem, kiedy wyszedłem z mojego Schronu. Na początku myślałem, że miasto jest opuszczone, ale te stwory szybko wyprowadziły mnie z błędu. Choć bardzo wolne, to jest ich tutaj mnóstwo. Nie wiem, to chyba wszyscy mieszkańcy tego miasta. Uciekałem przed nimi i wszedłem do tego pokoju, a one zaraz po godzinie okrążyły cały budynek i zaczęły jęczeć. Nie wiem czy kiedyś dadzą za wygraną, wiem, że muszę stąd uciec. Teraz żałuję, że nie wyszedłem stąd od razu, bo miałbym większe szanse, trudno będzie mi się przebić przez tę masę, nawet z miotaczem ognia. Także jeśli ktoś to czyta, to uciekaj od razu. Mam nadzieję, że jeśli to czytasz, to okaże się to trochę pomocne i że ja jestem już daleko stąd, bezpieczny. Powodzenie Tobie i mnie." - kiedy Albert skończył czytać, jego mina była mocno nietęga.

- No to chodźmy stąd! - powiedział Anthony uchylając lekko drzwi, żeby się rozejrzeć - Nikogo nie ma! Chodźcie!

Wszyscy wybiegli wiedząc, że od tego jak szybko będą biec zależy ich życie. Kiedy skręcili za róg, ich oczom ukazało się stado jęczących Ghuli. Jedni chodzili szybciej niż inni, drudzy wywracali się po drodze, ale było ich naprawdę sporo i nie zamierzali się zatrzymać. Podróżnicy ze schronu zaczęli uciekać.

- Jezu, one nas zjedzą żywcem!

- Zamknij się Greg, uda nam się!

Nogi Gregory'ego cierpiały straszne katusze. Prowadząc w schronie siedzący tryb życia nie był tak sprawny jak pozostali. Podróżując kilka dni i teraz co chwilę biegnąc, Gregory czuł, że sytuacja staje się bardzo kiepska. Dysząc ze zmęczenia, zaczął zwalniać. Pomyślał sobie, że wyprawa była błędem i to wina jego "przyjaciół", którzy teraz zostawiają go w tyle. Odwrócił się i zobaczył, że Ghule są dosyć blisko, niektóre potrafiły biec, jednak pojękując cały czas.

Skręcili za inny budynek, droga była czysta. Greg widząc, że coraz bardziej oddala się od drużyny, ze strachem wbiegł do jakiegoś sklepiku i schował się za ladą. Usiadł zziębnięty i przestraszony, nie wiedząc czy przeżyje, czy nie. Słyszał wołania swoich kompanów, ale słyszał też zbliżające się jęki. Pozostał w sklepiku z nadzieją na przeżycie. Nasłuchiwał stąpań i wycia Ghuli błagając Boga, żeby nie weszli do tego pomieszczenia. Kiedy pochód zaczął się oddalać, wychylił się zza lady. Na zewnątrz było już pusto, a jęki były daleko od niego. Popatrzył przez okno i z lekką ulgą stwierdził, że może uciekać. Cicho wyszedł ze sklepu i zaczął iść tyłem w stronę przeciwną do Ghuli. Miał szczęście, żadnemu z nich nie przyszło do głowy się odwrócić. Spojrzał w końcu twarzą w kierunku, do którego zmierzał i zaczął biec truchtem z poczuciem strachu i ulgi. Gdy po krótkim czasie zobaczył znajomą ulicę, która prowadził do wyjścia z miasta, stanął i westchnął z ogromną ulgą. Spojrzał jeszcze za siebie myśląc o przyjaciółach, ale szybko powiedział sobie, że i oni jego zostawili więc wychodzi na kwita. Chyba jeszcze uda mu się wrócić do Schronu. W momencie, w którym wyszedł za granicę miasta, miał ochotę zaśmiać się bardzo głośno, ale bał się, że Ghule mogą być w pobliżu. Jednak idąc powoli po zniszczonej autostradzie, co chwilę się odwracał, żeby zobaczyć okropne miasto. Sumienie okropnie go gryzło. Ku jego zdziwieniu zobaczył w oddali jakieś postaci. Adrenalina znów podskoczyła i na jakiś czas zapomniał o bólu nóg i płuc! Zaczął biec do postaci mając na nadzieję, że go wysłuchają.

Kiedy dobiegł dostatecznie blisko, podróżnicy też go zauważyli. Było ich kilkoro, trzech uzbrojonych mężczyzn, dwójka zmęczonych kobiet w łachmanach i kilka dzieci. Mężczyźni od razu zwrócili uwagę na Grega.

- Pomoc-y! - zmęczony podróżnik ze schronu miał problemy z mówieniem, wysuszone gardło nie było najlepszym instrumentem - Moi znajomi, tam, w mieście!

Dwójka mężczyzn spojrzała na najwyższego z nich z uniesionymi brwiami. Ten zapytał: - Byłeś w tym mieście?

- Tak, oni też tam są - skulony, sapiący mężczyzna starał się jak mógł.

- To co z nim zrobimy? - zapytał jeden z mężczyzn.

- Nic, zobacz, ugryźli go, nikt nie kupi napromieniowanego służącego, a i naszych może skazić.

- Co? - Greg przestał się patrzeć w ziemię i spojrzał na grupę ludzi. Dopiero teraz zauważył sposób, w jaki kobiety i dzieci patrzyły się na mężczyzn. Zrozumiał, że popełnił kolejny błąd.

- Zresztą, co za idiota wbiega do Miasta Śmierci? Zastrzel go, do niczego się nam nie przyda.

- Zaraz! - wyjęczał podróżnik i zdążył pomyśleć, że to kiepskie ostatnie słowo.

Jeden z mężczyzn wyjął duży srebrny pistolet i strzelił Gregowi w głowę. Jego ciało upadło na ziemię ze zdziwionym wyrazem twarzy, krew wypłynęła na pustynny piasek z niedawno utworzonego otworu w potylicy. Kiedy łowcy niewolników odeszli, pies który śledził Gregoryego od miasta, przybiegł do ciała merdając ogonem i zaczął jeść ze smakiem jego dłoń. Gdyby mógł to zobaczyć, na pewno byłby niezadowolony, ale jego puste oczy były teraz wpatrzone w nieskazitelne niebieskie niebo, bramę do innego świata. Świata, do którego właśnie trafił.

- Myślisz, że go dopadły?

- Nie wiem, mam nadzieję, że nie.

Jo siedziała przy oknie i co chwilę rozglądała się za znajomym, który nie przychodził. Anthony sprawdzał pistolet, a Albert siedział obok Jane, schowaną w jego ramionach, trzęsącą się ze strachu. Schowani w kolejnym budynku mieli nadzieję, że Ghule ich tu nie znajdą. Zanosilo się na to, w okolicy nie było słychać przeraźliwych jęków i okropnych dźwięków zgniłego ciała ocierającego się o podłogę. Wbiegli do kolejnego budynku, bo też byli zmęczeni i nie wiedzieli czy uciekają w głąb miasta, czy gdzieś w obrzeża, a bardzo chcieli z niego uciec.

- A jeśli go dopadły? Albo właśnie go zjadają?

- To pewnie zadaje sobie pytanie czemu się zatrzymał, a nie biegł razem z nami.

- Jak możesz tak mówić?! Powinniśmy mu byli pomóc.

- Tak? To czemu też się nie zatrzymałaś i mu nie pomogłaś? Nie wiń mnie bardziej niż siebie.
- Wystarczy! - skarcił ich Albert - Nie możemy się teraz kłócić i obwiniać, musimy wymyśleć jakiś sposób na wydostanie się z tego miasta.
- Masz rację - powiedział po chwili ciszy Tony - Musimy działać razem. Przepraszam, Jo.
- Ja też. Może jak stąd wyjdziemy, to go spotkamy.
- Pewnie tak - Anthony wcale tak nie myślał, był pewien, że jego przyjaciel już nie żyje, ale musiał podtrzymać morale w grupie.
- To co teraz zrobimy? - zapytała Jane.
- Nie wiem. Możemy tu przeczekać dzień, albo możemy stąd iść i spróbować znaleźć wyjście.
- Lepiej uciekajmy, póki możemy. Pamiętasz co było na tym holodysku.
- Racja. Ktoś powinien zejść na dół i rozejrzeć się czy tych stworów nie ma w pobliżu.
- Ja pójdę - zgłosiła się Jo - Może zobaczą Grega.
- Dobrze. Ja będę cię obserwował z okna.
- Ok.

Jo wyszła z pokoju i zeszła po cichu na parter. Stała chwilę przed drzwiami z sercem bijącym szybciej niż skrzydła kolibra. Nasłuchiwała czy nie ma tych okropnych jęków, powłóczenia nogami, czy też biegu Grega, lecz jedyne co słyszała to jej własny, nierówny oddech. W końcu otworzyła drzwi, w wyobraźni widziała jak zaraz przed nimi stoi jej znajomy. Stał tam. Ale tylko w jej głowie.

Na zewnątrz było pusto i cicho. Wyszła na środek ulicy żeby się rozejrzeć. Na długiej, asfaltowej drodze nie było absolutnie nic. Jo wciąż trudno było przyzwyczać się do tej ciszy i pustki. Kiwnęła głową do okna, że nikogo nie ma, a Anthony od niego odszedł, zapewne po to żeby do niej dołączyć.

Jo co chwilę się rozglądała i nagle opanowało ją przerażenie, zza rogu budynku zaczęło wychodzić zielone światło. Mimowolnie krzyknęła zdradzając swoją pozycję. Stała tam sparaliżowana i zobaczyła jak jeden z Ghuli wybiega z tamtego miejsca i z opętańczym krzykiem biegnie w jej stronę. Dziewczyna przypomniała sobie, że powinna uciekać i ruszyła w stronę drzwi na klatkę schodową. Pełna przerażenia podbiegła do nich i nacisnęła klamkę. Drzwi nie ruszyły.

Nie rozumiejąc co się dzieje, tylko jedna myśl krążyła jej po głowie, kiedy Ghul rzucając się na nią przewrócił dziewczynę na ziemię: ja umrę. Poczwała jego śmierzące, zimne palce na swojej twarzy i prawie wymiotowała. Stwór wpił swoje żółte zęby w jej szyję i starał się

odgryźć jej spory kawał. Jo próbowała go z siebie zrzucić, ale nie miała tyle siły, krzyknęła z bólu.

Kiedy Ghul odrzucił swoją głowę razem z zakrwawionym kawałkiem skóry, bryzgnęła na niego krew. Przeżuwał szybko i zakrzuszył się, wtedy dziewczyna wierzgnęła ciałem i wydostała się spod jego uścisku. Złapała się za szyję, żeby zatamować krwotok i próbowała wstać, ale mutant chwycił ją za nogę z jękiem. Gdy wtopił swoje zęby i w nią, Jo zauważyła, że z za rogu wychodzi ich coraz więcej. Krzyknęła z bólu, wypływając sporo krwi. Kopnęła Ghula drugą nogą w twarz i zabiła go wbijając jego nos w mózg. Chciała wstać, ale z krwawiącą szyją i nogą było jej ciężko. Nagle spadło na nią kilku Ghuli, gryząc ją po całym ciele. Krzyczała i wiła się z cierpienia, ale nie mogła już nic zrobić. Na jej szczęście, przed śmiercią zemdląca z bólu. A za zamkniętymi drzwiami, Anthony celował z pistoletu do swoich towarzyszy.

- Dlaczego nie otworzyłeś jej drzwi?! - zapytał rozwścieczony Albert głośnym szeptem.

- Gdybym to zrobił, stwory znałyby naszą pozycję. Nie mogłem pozwolić na to, żeby wiedziały, gdzie jesteśmy. Kiedy odejdą, uciekniemy.

- Gdybyś teraz do mnie strzelił, też wiedziałyby gdzie jesteś.

- Nawet nie próbuj.

Albert nie posłuchał. Skoczył do Anthonyego i złapał za rękę z pistoletem. Zaczął się z nim siłować, jednak szybko zdał sobie sprawę, że jest od niego o wiele słabszy. Anthony uderzył go głową w twarz i wyrwał swoją rękę z uścisku, po czym znów uderzył Alberta, tym razem pięścią w brzuch. Albert sapnął i przysiadł.

- Ty idioto, chcesz nas zabić? - Tony zapomniał się i prawie wykrzyczał to pytanie. Chwilę potem Ghule zaczęły uderzać w drzwi.

- Jezu - krzyknęła Jane - zginiemy!

- Uspokój się, nikt nie zginie! Idź na górę! Już! - Jane posłuchała i pobiegła na górę zostawiając swoich kolegów - Przykro mi Albert, ale muszę to zrobić.

- Co?

Anthony strzelił przyjacielowi w głowę. Krew bryzgnęła na drzwi, Ghule zaczęły coraz mocniej w nie uderzać, widocznie ciągnięte zapachem krwi - W ten sposób nie będziesz cierpiał - powiedział Tony i pobiegł po schodach na górę, drzwi puściły z zawiasów.

Jane czekała na niego w pokoju, drżąc ze strachu. - Przedostały się już przez drzwi?!

- Tak. Albert powinien je przez chwilę zatrzymać. Nie ma tu jakiegoś wyjścia pożarowego?!

- Nie wiem!

- To popatrz po oknach, idiotko! - powiedział i pobiegł do innego pokoju.

- Nie mów tak do mnie - odkrzyczała ze łzami w oczach i podeszła do okien szukając schodów. Kiedy ich nie znalazła, przysiadła i zaczęła szlochać.

- Tam żadnych nie znalazłem, a ty? - Tony wrócił do pokoju zdenerwowany.

- Nie ma.

- Kurwa mać! - krzyknął w sufit. - Ja tu nie umrę!

Jęki zaczęły się robić głośniejsze, Ghule zaczęły wchodzić na wyższe piętra. Jane siedziała cicho i patrzyła się pustymi oczyma w ścianę.

- Chodź, wyskoczmy przez okno! Jane! - nic mu nie odpowiedziała. Zdał sobie sprawę, że już się poddała i jej także strzelił w głowę. Jęki zaczęły być już niebezpiecznie blisko. Anthony oddał dwa strzały w okno, rozbiegł się i przez nie wyskoczył.

Kiedy lądował, poczuł jak jego lewa noga pęka. Wywrócił się i z krzykiem przeturlał dwa metry do przodu. Odwrócił się na plecy i zobaczył jak z drzwi zaczynają wychodzić jęczące potwory. Przestraszony chciał już przyłożyć pistolet do głowy, ale dopiero teraz poczuł, że go wypuścił z rąk. Rozejrzał się z desperacją dookoła i zobaczył, że leży kilka metrów od niego. Adrenalina sprawiła, że na chwilę zapomniał o bólu złamanej kończyny i zaczął się czołgać do pistoletu. Nagle poczuł zęby na lewej nodze. Krzyknął przeraźliwie i zatrzymał się na chwilę, po czym znów starał się doczołgać do broni. Kolejna szczeka wpiła się w drugą nogę. Teraz nie mógł już ruszyć dalej, zgniłe ręce go trzymały i jeden z Ghuli skoczył na jego plecy i zaczął gryźć łopatki. Krzyczał w cierpieniu, czuł jak jego skóra i mięśnie zostają odgryzane, słyszał jak jego ciało zostaje szybko przeżuwane i połykane przez napromieniowane stwory. Kilkadziesiąt zębów obgryzało skuloną w kłębek postać, ochlapując wszystko wokół ciepłą krwią. Na nieszczęście Anthonego, zemdłał dopiero wtedy, gdy jeden z Ghuli złapał i wyrwał mu jelita. Zaraz przed samą śmiercią.

Kiedy zapadła noc, Miasto Śmierci znów było puste, straciło wszystkich żywych mieszkańców, bowiem od czasu Wielkiej Wojny wszyscy jego mieszkańcy byli martwi. Umarli i stali się swoimi cieniami, skazanymi na wieczne potępienie i samotność. Nie mogą go opuścić i nie mogą w nim umrzeć. Tylko raz na jakiś czas, ktoś ich odwiedzi, a wtedy wychodzą ze swoich domów i zaczynają tańczyć do muzyki pragnienia. Taniec trupów, którego nie można odmówić, którego nie można opanować. Od początku Nowego Świata, aż do jego końca.